

- Taak... idę do Bzikańskiego. Jego moglibyście zagonić do roboty. Wyleguje się tylko całymi dniami.

W cieniu baszty, obok drewnianej skrzyni i rozczłapanych trumniaków widać było leżącego stróża, który spoglądał bez ożywienia na zbliżającego się Mateusza. Mateusz podszedł do kolegi.

- Cześć, Bziku. Znowu leżysz? Dziewczyny pracują ciężko, pomógłbyś trochę. Mógłbyś coś przytrzymać albo potrzymać, he, he!

Bzikański podkurczył nogi i zamknął oczy.

- Wielka robota mruknął. - Łażą z pędzelkami i tyłkami kręcą. Studenci. Chłopaki – same chuchra, ale wszystkie rozumy pozjadali.

Mateusz postawił koszyk i opadł na chłodną trawę.

- Zobacz tego czarnego, pokazuje dziewczynom jakieś skorupy. Już ja bym wiedział, co pokazać. Ty, Władziu, też byś wiedział, co?

Bzikański wydusił chrapliwie:

- Że ci jeszcze takie rzeczy po łbie łożą, stary zbierzniaku. Kiedy ma się siódmy krzyżyk na karku, trzeba o Piaskowskim myśleć.

Mateusz wyrwał garść trawy i posypał nią leżącego.

- A ja ci mówię – przestań chodzić do kościoła. Książd wam w łepetynie poprzewracał. Jeszcze za życia chce z was zrobić chodzące trupy. Jak mnie czarne myśli najdą, to babę potrzymam i od razu przechodzi. Trzeba żyć, Władziu, wtedy kostucha gównu znaczy.

Bzikański przekręcił się na plecy i otworzył jedno oko.

- Nie ma mocnych. Będiesz wyciągał kopyta, to zaśpiewasz inaczej.

Mateusz wyprostował nogi, spojrział w niebo z uśmiechem. Wysoko, wysoko, na tle jasnego błękitu, tkwiło w bezruchu kilka białych pasemek w kształcie haczyków. Powiedział nagle półgłosem, jakby powierzał kiedzie ważną tajemnicę:

- Powiesiłem nad łókiem nagą babę i powiedziałem starej, że nie daruję, jak

zerwie. No i wisi. Stara bluźni, ale się boi. Kiedy będę zdychał, popatrzę na obrazek – to będzie mój ołtarz, Bziku, moja bozia.

Bzikański otworzył drugie oko.

- Nie dziwię się, że się teraz wszystkim poprzewracało w głowie, ale ty, stary dziad...

- Postęp, Władziu. Jestem postępowy człowiek. Już mnie nie raz duszności łąpały; tu się nie mogę ruszyć, tu na obrazek patrzę. Baba lata jak głupia, żegna się, a ja znów na obrazek zerkam i jakoś przechodzi. Oho, zobacz, ten czarny coś niesie.

Opalony chudzielec podszedł i podniósł wicko skrzyni. Był w słomkowym damskim kapeluszu oraz opiętych dżinsach z nogawkami obciętymi nad kolanami.

- Kawalerze, co tam znalazłeś? – zapytał Mateusz.

- To jest część klingi, rozumie pan, kawałek szabli – powiedział chłopak, pokazując podłużny przedmiot przeżarty rdzą.

Mateusz wyciągnął rękę, obejrzał znalezione i rzekł zdecydowanie, tonem znawcy:

- To jest od radia.

Chudzielec roześmiał się.

- Żartuje pan, to przecież klinga.

- No, klinga, klinga, ale od radia. W moim starym kołchoźniku było coś podobnego. Nie śmieć się, kawalerze, wiem co mówię. Widzę, że stare, nie zaprzeczam, rozlatuje się. Ale to znaczy, że już dawno ludzie mieli radia. Co, może powiesz, że w książce nie piszą? A kto napisał książkę? Taki jak ty. Kopał, znalazł i napisał. Teraz ty napiszesz. I dzieci w szkole będą wiedziały więcej: ludzie już dawno mieli radia. Władek, źle mówię?

- Albo podkowa – mruknął Bzikański.

- Gównu, nie podkowa, zobacz jakie to cienkie.

Mateusz uklęknął i zajrzał do skrzyni.

- No, ładnie, prawie cała skrzynia skorup. A to co?

- Kabłączki – odparł chudzielec. - Kie-

dyś kobiety nosiły – takie kolczyki.

- Dziś mało która nosi – powiedział Mateusz. - Twoja panna nosi? Która jest twoja? – zapytał spojrzawszy w kierunku zwałów ziemi, za którymi pojawiały się i znikwały opalone dziewczęce karki.

Chłopak poprawił kapelusz i rozłożył chude ramiona.

- Wszystkie, mało ich?

Mateusz nicomal krzyknął:

- O, jak wszystkie, to żadna! Ja ci powiem, Anię sobie weź, fajna z niej dziewczyna.

- Eee – skrzywił się chudzielec. Widać nie miał ochoty na dalszą rozmowę, bo ruszył z powrotem do swojego dołu.

- Co się krzywisz, kawalerze? – rzucił za nim Mateusz. - Ta szkoła robi z was nic wiadomo co. Pousychają wam i na starość będziecie żalować. Żyj, chłopie, jak należy. Słuchaj małego czasami, dobrze ci radzę!

Spojrzał na Bzikańskiego, jakby szukał w jego oczach aprobaty dla swych życiowych mądrości, lecz znów ujrzał zamknięte powieki kolegi.

- A ty co, na spanie ci się zebrało? – powiedział rozczarowany.

- Nie śpię – ziewnął Bzikański – tylko oczy się kleją. Po co pleciesz farmazony, on jest mądrzejszy od ciebie, da sobie radę bez twojego gadania.

- Da radę? Powiem ci: im mądrzejszy, tym głupszy. Jak budowałem Pałac Kultury, też był taki – inżynier. Baby na niego napuszczaliśmy, a on nic, jak cielę. Teraz każdy uczony i do życia się nie nadaje. Tyle wszystkiego mają. Dla kogo? My, starzy, mamy im dzieci robić? Władziu, nie śpij! Rybakowa ma jakiegoś?

Bzikański otworzył jedno oko.

- Sąsiad jesteś i nie wiesz? Przyłazi przecież do niej Kaczmarek.

- Ten moczymorda, co w MPRB robi? Zgłupiała baba.

- Lepszy od ciebie – młody.

- Młody, młody – prychnął Mateusz – myślisz, że ja już jestem do niczego? Takich młodych jak on dziesięciu



bym przetrzymał. Nie mówię o swojej, ale z Rybakowej nie złażyłbym przez całą noc.

Westchnął nagle głęboko. Kropla potu ciężkiego jak olej zaiskrzyła się na jego skroni. Położył się na plecach, rękę do mostka przycisnął, jakby chciał wyhamować szybkie ruchy wznoszących się i opadających piersi. Świszczący oddech przypominał płożenie drewna, jakie się czasem słyszy gdzieś w lesie, lub jakie dociera w wieczornej ciszy z odległego podwórka.



Bzikański poderwał głowę.

- Co ci? Serce?

- Nic, nic... Nie bój się i tak cię przeżyje – już trochę swobodniej odetchnął Mateusz.

Bzikański znów wtulił ucho w łokcie.

- Mnie tam serce nie boli – mruknął.

- Głupi jesteś – powiedział Mateusz z wyrzutem. - Nie lubię patrzeć na takich sparciatych jak ty. W lustro się gapić, ludzi słuchać, a to taka prawda, że napluć. Mogą sobie wmawiać, ale nie we mnie. Dostanie w mordę jeden z drugim i wie, że się nie jest powietrzem. Nawet młoda baba, jak poczuje, też od razu inaczej myśli. Albo się żyje, albo nie – wóz albo przewóz, jak mówił Maciocha z Wólki, co kobyłę przegrał w oczko.

Za białym haczykiem na niebie błysnął srebrzysty punkcik, niczym samotny gołąb pocztowy mknący co tchu z ważną wiadomością. Mateusz szturchnął Bzikańskiego.

- Zobacz, samolot. Wysoko. Pasażerski. Mam zięcia pilota – powiedział próbując usiąść. - Pmiętasz, ten wojskowy, co był na wiosnę. Dwóch chłopaków mają. Moja krew, Bziku. Stara ich ode mnie odgania, że niby wnuków popsuje, ale oni i tak tylko do mnie się garną. Wiem jak z nimi gadać. Dzieciak dużo nie zrozumie, ale mądrzejszy jest od starego. Jak starszy z człowiekiem rozmawia, to jakby łaskę robił, dzieciak – normalnie. Pod koniec sierpnia mają przyjechać. Oho, ruda lwica do nas idzie. Istna anielica.

- No co, serdeńko? – uśmiechnął się do nadchodzącej. Dziewczyna stanęła na granicy cienia, z którego, jak spod

koldry, wyglądały ku słońcu buty Mateusza. Wyciągnęła rękę z otwartą torebką.

- Proszę się poczęstować – powiedziała odsłaniając białe, równe ząbki.

Mateusz sięgnął do torebki.

- O, dzięki. Miętowe? Wezmę dwa, dobrze?

- Ależ proszę bardzo. Może jeszcze?

- Nie, nie. Wystarczy. Co za dużo, to nie zdrowo.

Dziewczyna pochyliła się nad Bzikańskim.

- Proszę, niech się pan poczęstuje.

Bzikański odwrócił głowę, głowę w trawie zanurzył i jakby mrówkom albo trawie chciał coś w sekrecie powiedzieć, wydusił:

- Ja nie chcę. Zęby boją.

- Oba, Władziu? – zaśmiał się Mateusz, mrugnawszy do rudej. - Bierz jak ci dają, najwyżej połkniesz.

- Odezwał się ten, co ma trzy – mruknął Bzikański.

- Dwanaście, Władziu, dwanaście. Cały tuzin. Niech panienka zobaczy.

Ruda plereza, jak główka płonąca do kupy chrustu, zbliżyła się do rozdziawionej gęby Mateusza.

- Jeszcze możliwe. Wyprostowała się błyskając własnymi, śnieżnobiałymi ząbkami – Mój dziadek ma sztuczną szczękę. Na noc zawsze wyjmuję...

- To źle – przerwał Mateusz – bo mu się buźka zapadnie, jak Władziowi. Ja na swoje nie mogę narzekać. Jeszcze wnuczkom orzechy gryzę. Kiedyś gryzłem tymi z tyłu po prawej, później tymi po lewej, teraz tymi z przodu. Gorzej idzie, ale idzie.

Ruda klasnęła w dłoń.

- To pan jest prawdziwym, żywym dziadkiem do orzechów!

- Żeby tylko. Niech pani zapyta tego pana, ile jeszcze potrafię.

Tym razem roześmiał się Bzikański: - Najwięcej potrafi gadać, w dodatku same głupoty.

- No, no, tylko nie głupoty – obruszył się Mateusz. - Kto głupi dla tego głupoty.

- Każdy ci to powie – rechotał Bzikański.

- Bo każdy głupi. Prawda, panienko?

- Ja też? – ruda wydeła paradnie wargi, udając zdziwienie.

